

Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
 DWUTYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
 POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. I O. P.

WSPOMNIENIE Z WYCIECZKI ARTYSTYCZNEJ, ODBYTEJ W R. 1883 DO PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ I ZIEMI RODZINNEJ MICKIEWICZA.

STRONY MICKIEWICZOWSKIE.

Wyjeżdżając z puszczy białowieskiej, zamiarem moim było zajechać do państwa marszałkostwa Szwejkowskich, właścicieli dóbr Prużana, ale stan opłakany w jakim przyjechałem i późna godzina nocna zmusiły mnie szukać noclegu w mieście. Na szczęście znalazłem wcale porządny hotel, w którym mi dano schludną izbę o czystym i miękkim łóżku, czule uśmiechającem się do mnie zapowiedzią zadośćuczynienia za trzytygodniowe spanie na twardej ławie leśniczówki. Zrzuciwszy z siebie odzież, z której lała się woda, otworzyłem kuferek, by sięgnąć po suchą bieliznę; przerażający widok jaki się oczom moim ukazał, wyrwał mi z piersi krzyk rozpaczny...

W kufierku—jezioro, po nim, jak szczątki rozbitego okrętu, pływały fraki, kamizelki i inne, mniej godne wzmianki, części ubrania... A studja moje... ciężka praca moja... krwi i pocie mój, cóż się z wami stało! Wyławiałem i rozwijałem je sztuka po sztuce i lży moje dolewałem jeszcze do mokrego żywiołu, który je zniszczył do szczętu, bezpowrotnie. Zniweczone nie tylko rysunki na papierze, nawet deseczki, na których malowałem, spacone w trąbkę i zwalane jakimś brudnym płynem.

Kuferek miałem skórzany, w dobrym zresztą stanie, ale wśród całodziennej ulewy, na dnie bryczki w wodzie stojąc i nie będąc ni-

czem nakryty, bo takiej katastrofy nie przewidywałem, nic dziwnego, że wkońcu przez szparę od zamknięcia woda do wnętrza się dostała.

Następny dopiero dzień spędziłem w gościnnym domu marszałkowstwa Szwejkowskich, a późnym wieczorem opuściwszy porządną bardzo miejscinę, dojechałem do stacji kolejnej żelaznej Linówki, z wytkniętym celem Nieświeżem.

Niema wprawdzie Nieśwież nic wspólnego z poezjami Mickiewicza, ale, że droga do Nowogródka na niewielkie to zboczenie pozwałała, nie mogłem oprzeć się pokusie zwiedzenia słynnego tego gniazda królików litewskich, poszukiwania coby się tam z pamiątek polskich odnaleźć jeszcze dało, choćby wreszcie i zakosztowania koloru lokalnego wśród tych ścian, które słyszały wrzawę całej szlachty litewskiej i wybryki oryginalne wielkiego Łgarza, mniej zapewne dla historyka cennego, ale dla artysty będącego niezaprzeczenie przedmiotem malowniczym jakich mało.

Wysiadłem około szóstej zrana na stacji Horodziej i nająwszy żydka, puściłem się do oddalonego o trzy mile Nieświeża. Droga nic ciekawego nie przedstawiała: cisza rozłożystych pól i jednostajne skrzywienie piasku pod kołami sprzyjały dumce.

Nareszcie z za wzgórza wychylać się poczynały wieże kościołów nieświeskich i panująca nad nimi zamkowa, na której powiewająca zdaleka widzę trzy trąbki Radziwiłłowskie.

Była niedziela: z różnych stron lud dążył do kościoła farnego pocziwy lud, o włosie płowym i wielu innych zaletach, okrom jednak urody. Mój woźnica zawiózł mnie do jakiejś oberży żydowskiej, rozumie się, gdyż innej tu niema.

Na wieczór udałem się do zamku, gdzie zostałem przyjęty z największą uprzejmością przez księżnę Antoniową i odrazu ulokowany w gościnnym zawsze zamku nieświeskim.

Nieśwież był niegdyś stolicą udzielnych książąt, a następnie ordynacji tegoż nazwiska domu książęcego Radziwiłłów.

Obecnie jedynymi śladami poprzedniego stanu są kościoły i zamek, ten ostatni w połowie tylko mieszkalny, z resztą starych pamiątek, otoczony fosą i wałem, zdaleka zdaje się być on jeszcze dość krzepką warownią, ale rozpartrzywszy bliżej tę niską ośmiokątną wieżę, co panuje nad główną bramą i bez kształtu architektonicznego w różnych czasach przymurowane do ogólnego planu zastosowane skrzydła, te czworoboczne bastjony i drugą naprzeciw wejścia wieżę, nad którą dotąd wznosi się

orzeł i trąbki herbowe Radziwiłłów, przyznać potrzeba, że wnosząc gród tutejszy raczej miało na uwadze potrzebę i przepych pańskiego mieszkania, niż obronność samego miejsca i miasta. Ogromna książęca rezydencja przedstawia się jako zamknięty obszerny czworobok, bez smaku zbudowana trzypiętrowa kamienica, podobna kształtem do szpitala lub koszar. Jedyne część środkowa, pod wieżą wynioślejsza i armaturami przyozdobiona, mieszkania pańskiego nosi piętno. Wszystko zresztą długoletnie zdradza zaniedbanie, z którego tylko stopniowo zamek się odmładza pod troskliwą ręką niezałującej pracy i nakładu księżnej Antoniowej, najwyższych przymiotów umysłu i serca matrony. Ona to, znaczne sumy corocznie poświęca na odnowienie i utrzymanie starego gniazda radziwiłłowskiego; co więcej, sama choć Francuska (z domu margrabina De Castellane), pokochała kraj nasz i przeszłość rodu mężowskiego a dobra, czynna jej ręka rozciąga się po szerokich włościach radziwiłłowskich, siejąc pomoc i pociechę biednemu ludowi, który też ją czci i kocha jak prawdziwą matkę.

Chwile pobytu mojego w Nieświeżu bardzo były urozmaicone: po kilka godzin wśród dnia malowałem, resztę czasu przepędzałem



Ryc. 245.

Zaosie. Świronek.

Ze zb. Pol. Tow. Krajoznawczego.

w towarzystwie rodziny książęcej, wieczory najczęściej u p.p. Abłamowiczów, gdzie matka gospodarza domu, siostrzenica Maryli z Wereszczaków Putkamerowej opowiadała mi o przeszłości.

Miasto Nieśwież, od strony zwłaszcza zamku bardzo się przedstawia malowniczo. Część jego jedna, znaczniesza, dość porządnie jest murowana, druga część stanowiąca niby przedmieścia, składa się z gęsto nagromadzonych domostw drewnianych, pod gontami. W środku rynku stał wówczas jeszcze starożytny ratusz, otoczony u dołu na wszystkie cztery strony jakby galerją sklepików murowanych, jednolity gmach przedstawiający, gdzie wszelkiego rodzaju towary, jak w bazarze wschodnim wystawione były; każdy sklepik miał nade drzwiami na ścianie malowane godło, jak lew, wielbłąd, jeleń i t. p. Od tych godeł sklepiki nazwy swe otrzymały. Podobno w wielkim pożarze w r. 1888, jeżeli się nie mylę, uległa zniszczeniu i ta interesująca pamiątka. Istnieje zato w całości słynna brama Słucka, na końcu miasta nad jeziorem położona. Z kościołów tylko farny na wzmiankę zasługuje; w jego podziemiach obszernych mieszczą się groby Radziwiłłów; zwiedzałem je; otwierano mi trumny, lepiej zachowanych nieboszczyków; ze wszystkich najlepiej się trzyma „Panie Kochanku”, u którego twarz tylko uległa zepsuciu; leży on w pąsowym, atłasowym żupanie i w żółtych butach, bez karabeli lub innych przyborów; z Sierotki sam tylko zachował się szkielet, pokryty szmatami bezbarwnej materji.

Z innych kościołów jeden na cerkiew przemieniony, drugi, kościół Karmelitanek (jeżeli dobrze pamiętam) z klasztorem i kościół św. Krzyża, w zupełnie dobrym jeszcze stanie za bytności mej w Nieświeżu będące, po zniesieniu klasztorów w r. 1863 podług przyjętej barbarzyńskiej reguły, na zniszczenie powolne przeznaczone.

Wesołym krajobrazem ponad brzegami wijącej się Uszy, po trzytygodniowym w Nieświeżu pobycie, jechałem dniem cichej, letniej pogody do Połoneczki, majątności księcia Macieja Radziwiłła. Zbliżałem się teraz do punktu celnego mej podróży, do Tuhanowicz, tak pełnych pamiątek najdrogocenniejszych z życia naszego wieszczu, do Tuhanowicz, echem

smutnem jęczących wiecznie jego skargą: „Połały się łzy me czyste, rzęsiście”...

Kraj, którądy teraz jechałem, odmienił się do niepoznania w miarę jak się od Nieświeża oddalałem. Zamiast moczarów lub naprzemian piaszczystych gruntów, które stanowią charakterystykę okolicy nieświeskiej, tutaj łąki i żyzne ziemie rozweselały oko, a wsie, mniej już jedne od drugich oddalone, gęsto były zaludnione i zabudowaniami porządnymi świadczyły o zamożności i pracowitości mieszkańców.

Zwłaszcza miłą od Tuhanowicz teren falitys urozmaicać począł widnokraj; śliczne łąki ujęte w ramy ciemnych borów, grały żywymi barwami pośród „pól malowanych zbożem rozmaitem”. Gdzieniegdzie, wśród bukietu drzew wesoła siedziała wioska, linją pięknej topolowej alei, podająca rękę niedalekiej sąsiadce, a wśród tego obrazu, raz tu, raz tam z zakrętu wyblyskiwała srebrzysta wstęgą uroczej rzeczki ze starym, zgarbionym towarzyszem, młynem.

Już było około czwartej popołudniu, kiedy stanąłem w Tuhanowiczach, przed oficyną, w której mieszkała p. Kiersnowska, dzierżawczyni podówczas Tuhanowicz, będących po dziś dzień własnością Wereszczaków. Właśnie były imieniny p. Kiersnowskiej i spore grono gości siedziało przy podwieczorku. Ledwie wykrzyknikowi obronić się mogłem, gdy mi pośród gości zaprezentowano jednego Czeczota i dwóch Rdułtowskich. Byłem już w kraju Mickiewicza! Od tej chwili też, gdy wyjawilem cel mojej podróży, już o niczem innem nie rozmawiano jak tylko o Adamie i płynęła, płynęła szerokim korytem bogata tradycja, jaka tu po nim została. A trzeba wiedzieć jakie tu gorące serca biją! Nie pojmie może nasz apatyczny Wielkopolanin, jak można przez całe popołudnie o jednym tylko bez znużenia rozmawiać Mickiewiczowi? Inaczej czują Litwini: istnieje u nich prawdziwy kult Mickiewicza, dumni są, że pochodzą z tego kawałka ziemi i najmniejszy szczegół z życia wielkiego rodaka, podany przez ojców dzisiejszemu pokoleniu, żyje w ich piersiach jak rodzinna, drogocenna pamiątka. Widząc ten kraj i słysząc rozmowę, przekonałem się dopiero, jak trafne jest zdanie niemieckiego poety: kto wieszca zrozumieć pragnie, do kraju wieszca iść winien.

Po podwieczorku poszliśmy w całym towarzystwie oglądać pamiątki po Mickiewiczu. Na lewo od oficyny o jakie sto kroków, przedzielony od niej wielkim okrągłym trawnikiem, stoi na tle bujnej ogrodowej zieleni tenże sam dworek Wereszczaków, w którym niegdyś mieszkała Maryla. Dom niski, parterowy, typowo polski dworek, z wystawką pod czterema kolumnkami bynajmniej nie jest drewniany, jak twierdzi p. Chmielowski (Adam Mickiewicz, życiorys i t. d.) przeciwnie, jest murowany, gontami kryty. Duży kasztan po prawej stronie ocienia połowę domu: po tejże samej stronie, ostatnie narożne okno należy do pokoju, w którym mieszkała Maryla. Do tego narożnika przypiera mała przybudówka z kuchnią i izbami dla służby tudzież niewielka oranżeria.

Dworek bez najmniejszej zmiany pozostał taki jakim był, kiedy po raz pierwszy Tomasz Zan tu przyprowadził dwudziestoletniego wówczas Mickiewicza. Od strony pokoju Maryli prowadzi ganek do oddalonej nie więcej nad 150 kroków, sławnej z „Dziadów” altany: „Altano! mego szczęścia kolebko i grobie!”

Nie jest to właściwie altana podług naszego pojęcia: jestto grupa wkrąg posadzonych lip tworzących koło 3 — 4 metrów średnicy.

Lipy te olbrzymich rozmiarów rzucają cień nieprzebyty i mogły istotnie być dla poety ponętną świątynią dumania. Dziwny wypadek miejscu temu, dodał nowego, tajemniczego uroku. Kilka lat przed moim do Tuhanowicz przybyciem, szlachta Nowogródka drogą składki, sprawiła piękne marmurowe popiersie wieszczka i ustawiła w pamiętnej altanie. Zaledwie dni kilka pomnik stał na miejscu, gdy wśród burzy piorun w popiersie uderzył i potrzaskał na kawałki; stała jeszcze za mych czasów podstawa marmurowa.

Tuhanowicze były podówczas własnością panny Wereszczakówny, której poznać nie mogłem, bo krótko przedtem za granicę wyjechała. Bliska jej krewna mieszkała wtenczas we dworze i w towarzystwie jej niejedną wieczór spędziłem.

Łaskawa moja po dworze Tuhanowickim przewodniczka nie puściła mnie z próżnymi rękoma: widząc z jakim zamiłowaniem zbierałem najdrobniejsze choćby szczegóły, tyjące się wieszka naszego, podarowała mi odpisany wiersz jego, ostatni może płód zamierającej jego muzy. Wiersz ten wówczas nigdy nie był drukowany i dzisiaj jeszcze mało komu jest znany. W publikacji jego uprzedził mnie pan Bełza, który w rok po moim w Tuhanowiczach pobycie, bo w r. 1884, w dziełku swoim: „Kronika potoczna i anegdotyczna z życia Adama Mickiewicza”, pierwszy



Ryc. 246.

Ze zb. Pol. Tow. Krajoznawczego.
Woj. Nowogródzkie. Dęby nad Świtezią.

raz utwór ten ogłosił. W przypuszczeniu jednakże, że wiele osób pomienionego nie czytało, wiersz ten raz jeszcze miłemu gwoli wspomnieniu podaję.

DO SOSNY POLSKIEJ.

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,
Domowy mój prostaku, witaj moja sosno!
Od matek i siostr twoich oderwana rodu,
Stoisz sierota, pośród obcego ogrodu!
Jakże tu miłym gościem memu jesteś oku;
Oboje doświadczamy jednego wyroku;
I mną także rzuciła pielgrzymka daleka,
I mnie na obcej ziemi czas życia ucieka.
Czemu, choć cię starania cudze otoczyły,
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciłaś siły?
Masz tu wcześniej i słońce i rosy wiośniane,
Przecież gałązki twoje żółkną pochylane;
Więdziesz, usychasz smutna wśród świetnej płaszczy-
Niema dla ciebie życia, gdzie niema ojczyzny, [zny,
Drzewo moje! nie zniesiesz wygnania tęsknoty,
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty,
A padniesz martwa, obca cię ziemia pogrzebie:
Drzewo, moje! czyż będę szczęśliwszym od ciebie?

* * *

Wiersz ten napisał Mickiewicz w r. 1847 w ogrodzie, w Chatenay, niedaleko Poitiers.

O półtorej mili od Tuhanowicz położona jest t. zw. „okolica” Zaosie, które uchodzi za miejsce urodzenia Adama Mickiewicza. Jak o zaszczyt uchodzenia za miejsce urodzenia Homera toczyło spór siedm miast greckich, tak i chluby kolebki Adama Mickiewicza zadzroszczą sobie nawzajem Zaosie i Nowogródek. Nie chcę się tu zapuszczać w rozbieranie tej sprawy.

Dom, w którym się Mickiewicz urodził został bez zmiany taki sam, kiedy tu mieszkali rodzice poety. Nie jest to dworek, ani też chata; ani jednego ani drugiego charakteru niema. Sień obszerna przedziela go na dwie równe części, w każdej po dwie izby obszerne z alkierzem, tudzież kuchnia; z tyłu małe podwórko z zabudowaniami gospodarskimi.

O jakie kroków trzydzieści przed domem stoi stary drewniany lamus, czyli świronek. Jestto sławny ów świronek, który w czasie wakacyjnym, służył za kwaterę Mickiewiczowi i Filaretom, którzy z nim do Zaosia przyjeżdżali. Jestto rodzaj szopy z okrągłaków przyciosanych zbudowanej; na dole remiza, u góry mała i niska izdebka o trzech okienkach, do której dochodzi się schodami. Dach, kształtu

piramidalnego, słomą jest kryty i wystającym okapem okrywa obejście wokoło szopy, tworząc rodzaj balkonu dokoła. W izdebce widać jeszcze na ścianach krajobrazki rysowane piórem, artystycznych zalet, ani pretensji nie mające; gdzieniegdzie także nieczytelne już napisy. Rysunki są ręki Tomasza Zana, nie zaś Mickiewicza, jak utrzymują niektórzy, napisy tylko są Mickiewicza. Świronek, jak wyżej powiedziałem, stoi zupełnie odosobniony przed frontem domu. a nie za domem i między zabudowaniami, jak mylnie opisuje Edward Pawłowicz: „Zaosie” w Tygodniku Ilustrowanym, 1883 r. № 14.

Z żalem przyszło mi nareszcie pożegnać uroczę Tuhanowicze i wzór polskiej gościnności, dom zacnej pani Kiersnowskiej, którego zawsze najmiłsze zachowam wspomnienie. Uprzejma gospodyni opatrzywszy mnie w najdokładniejsze informacje, dała mi konie, które odwieźć mnie miały do jeziora Świtezi, a następnie do Nowogródka. Wyjechałem o piątej popołudniu, tak, aby w nocy stanąć nad jeziorem, bo i pełnia była księżyca, na którą czekałem i pogoda niezawodna. Pani Kiersnowska opowiadała mi, że dwie niedaleko od siebie są karczmy, w których będę mógł nocować: jedna tuż przed samym jeziorem, druga o półtorej wiorsty dalej.

Właśnie zmrok zapadał, kiedy przejeżdżałem przez miasteczko Horodyszczce. Jakiego tu wrażenia doznałem, nie zapomnę nigdy.

Niebawem wjechaliśmy w ogromne bory, wśród których leży jezioro; księżyca jeszcze nie było a bór ciemności powiększał. Drogi co chwila się krzyżowały i chociaż pani Kiersnowska bardzo dokładnie drogę opisała, przyszła chwila, w której z dobrego zбочyliśmy kierunku. Jedziemy i jedziemy a końca niema. O godzinie dziesiątej najpóźniej mieliśmy ujrzeć wodę Świtezi... a tu dwunasta, pierwsza, jeziora niema i niema.

Jak się stało nie wiem, ale około drugiej nagle coś między drzewami zaświeciło, jakby jakaś fosforescencja; zaciekawiony, kazałem stanąć i wysiadłszy postąpiłem w las, aby się przekonać, coby to być mogło. Zaledwie kilkanaście kroków uszedłem, poznaję wodę — przypadkiem zajechaliśmy do samego prawie jeziora. Po Mickiewicz u miałbym opisywać



Ryc. 247

Nowogródek. Rynek.

Fot. J. Bułhak.

Świtezia jezioro?! Tego nikt odemnie pewnie wymagać nie będzie? Powiem tylko, że to cudne, w nocy zwłaszcza, jezioro, kształt ma dokładnie okrągły, jakby cyrklem było zatoczone; dokoła las czarny, którego drzewa maczają się w wodzie; w tych ciemnych ramach i przy tym kształcie okrągłym na gładkiej szybie jeziora odbicie nieba do złudzenia sprawia wrażenie, jakby to dziura ogromna na przestrzał ziemi, po drugiej stronie której widać niebo antypodów z gwiazdami, księżycem i białymi chmurami.

Na drugi dzień, po noclegu w karczmie, siedziałem znów na bryczce a zmęczone szkapę wolnym krokiem dowlokły mnie do Nowogródka.

Śliczne to miasteczko i malownicze, któremu uroku niemałego dodają ruiny zamku Mendoga, z którego część muru obwodowego

i dwie potężne zachowały się baszty. Dom rodziców Mickiewicza niestety! krótko przedtem padł ofiarą pożaru i tylko okopcone kominy oznaczały miejsce, gdzie wieszcz nasz spędził pierwszą swą młodość.

Z Nowogródka czyniłem w różne strony wycieczki, wspomnę tylko, że pojechałem do Lachowicz, by zwiedzić grób Rejtana... Mój Boże! grób taki w żydowskim dzisiaj ogrodzie! Nie dziwcie się tamtejszemu obywatelstwu, że na to mogli pozwolić: odkupić, ozdobić to łatwo — ale potem: denuncjacje, kontrybucje, Sybir — o to także na Litwie nie było trudno, przynajmniej wówczas. Przez Korelicze, Rutę, (patrz balladę „To lubię”), Mir o ogromnych i cudnych ruinach zamku radziwiłowskiego wracałem znów do Nieświeża, do dobrych przyjaciół, od których nareszcie oderwać się musiałem, gdyż czas był wracać do Warszawy.

ADAM CHĘTNIK.

O MUZEACH I PRACY KRAJOZNAWCZEJ W BUŁGARJI.

Praca kulturalno-narodowa datuje się w Bułgarii nadobre dopiero po odzyskaniu niepodległości, czyli od r. 1878. Wtedy też zapoczątkowano w stolicy Sofji muzeum narodowe,

rozpadające się na trzy działy: etnograficzny, archeologiczny i biblioteczny. Z czasem muzeum przekształcono na dwa oddzielne; archeologiczne i etnograficzne, z działu zaś biblio-

tecznego utworzono osobną instytucję, pod nazwą „narodna biblioteka”. Taki też podział istnieje do dziś.

Muzeum archeologiczne posiada dość obszerny budynek murowany, przerobiony ze starego meczetu. Zajmuje wielką dolną salę i mniejszą na piętrze, oraz galerję. Wnętrze sali dolnej wypełnione jest wykopaliskami z grobów przedhistorycznych i późniejszych, oraz ta-

blicami, kolumnami i posągami dawnej kultury Greków, Rzymian i Traków. Kolumny (lub ich części) i tablice zryte są napisami i datami, stanowiącemi bezcenny materiał dla historyków wogóle i dla historii samej Bułgarii. Cała masa przedmiotów, dotyczących codziennego życia ludów, zamieszkujących dzisiejszą Bułgarię dopełniają całości.

W górnej sali widzimy bogaty dział wykopaliskowy sztuki plastycznej, numizmatykę i malarstwo nowoczesne.

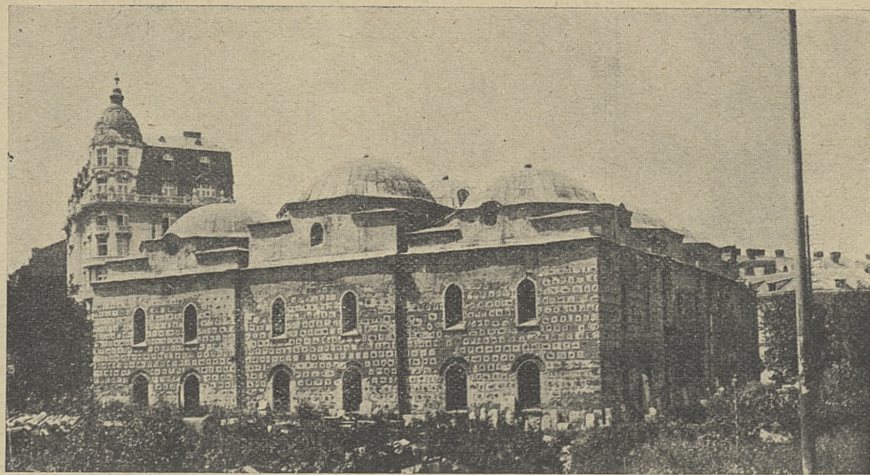
Na uwagę zasługuje duży obraz naszego malarza Piotrowskiego, przedstawiający Turków, w zdobytej, spalonej i wyrżniętej wsi bułgarskiej.

Galerja obfituje w bezcenne okazy ikonograficzne, ilustrujące początek i rozkwit sztuki bizantyjskiej z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Cały dziedziniec muzealny zastawiony jest również szczątkami tablic i kolumn marmurowych i kamiennych obelisków i sarkofagów. Wewnątrz niema już ani krzty miejsca dla tych kamiennych ksiąg przeszłości.

Muzeum archeologiczne posiada obszerny, lecz mało dostępny wskutek wysokiej stosunkowo ceny, katalog opisowy.

Niezmiernie ciekawe i bogate jest muzeum etnograficzne („Naroden etnograficeski muzej”), również w Sofji, założone w r. 1906. Zajmuje ono kilkanaście sal w budynku wynajętym i mało zastosowanym do potrzeb muzealnych. Posiada ok. 30 tysięcy eksponatów,



Rvc. 248.

Bułgaria — Sofja.

Gmach Muzeum Narodowego (dział archeologii), przerobiony z dawnego meczetu.

w czem ok. 4 i pół tysiąca ubiorów i strojów ludowych bułgarskich. Strojów tych jest wielka różnorodność, zasadniczo zaś co do ubiorów Bułgaria dzieli się na dwie grupy: zachodnią (bielodreszkowcy) i wschodnią (czernodreszkowcy). Pierwsza grupa ubiera się w samodzielne koloru białego, jak np. nasi górale, w drugiej przeważa kolor czarny. Obie grupy lubią się w haftach i ozdobach, wyszywanych szychem srebrnym lub złotym. W sofijskim muzeum etnograficznym najważniejsze i więcej charakterystyczne ubiory: stroje przedstawiane są na figurach-manekinach, tak samo przedstawione są różne sceny z życia ludu, przemysłu wiejskiego i t. p. Takich figur charakterystycznych jest w muzeum 178, umieszczonych w szafach lub osobnych przedziałach. Poza to muzeum posiada: pamiątki z czasów walki o niepodległość Bułgarii, dział ciekawych ozdób kobiecych, (metalowych srebrnych klamer), sceny dawnego złotnictwa, wieś podgórską plastycznie przedstawioną, dobywanie żelaza z rudy domowym sposobem, przedstawione w modelach i t. p. Ciekawe jest wewnątrz chaty bułgarskiej, pozatem obrazy olejne, przedstawiające sceny weselne, zbiór róż i t. d. Setki fotografii, rozmieszczonych na ścianach, dają nam wyobrażenie o typach, obrzędach, tańcach i czynnościach domowych ludu bułgarskiego.

Prócz powyższych jest jeszcze w Sofji cesarskie muzeum przyrodnicze z okazami wypchanych ptaków i zwierząt, oraz bogatym zbiorem motyli miejscowych i egzotycznych.

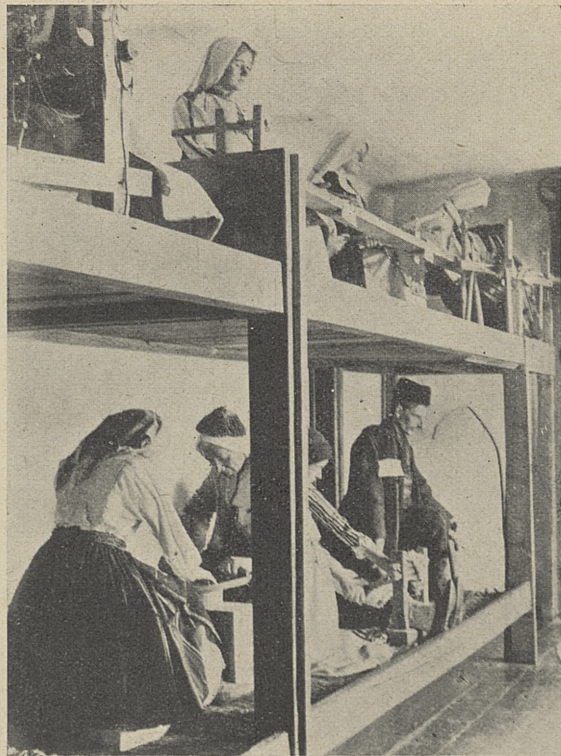
Jest jeszcze muzeum pedagogiczne, pod bezpośrednią opieką Ministerstwa Oświaty.

Muzea w Bułgarii utrzymywane są przez rząd, z sum również państwowych utrzymuje się personel muzealny. Z opłat i dochodów pobocznych kierownicy muzeów wydają prace naukowe i publikacje, zakupują nowe okazy i t. d.

Co do samych eksponatów, to te są przeważnie zakupywane przez dyrekcje muzeów, urządzone też są zamiany w naturze, zdarzają się też i darowiska.

Wszystkie muzea w Sofji cieszą się znaczną frekwencją oglądających, a w ich liczbie przeważa ludność wiejska, oglądająca z zainteresowaniem gabloty w niedziele i dni targowe, a także przy każdej sposobności. Opłata za zwiedzanie wynosi około 30 naszych groszy (5 lirów), w niedzielę zaś rano, oraz we wtorki i czwartki zwiedzanie jest darmo. Niemniej jednak w dni piątkowe, kiedy są targi, muzeum jest wypełnione zwiedzającymi ze wsi. To już dobrze świadczy o ludzie, który okazuje tyle zainteresowania do rzeczy przeszłych i do zabytków swej rodzimej kultury. Wszystkie szkoły bułgarskie korzystają z muzeów bezpłatnie, na obowiązkowe zaś zwiedzanie specjalnie wpływają inspektoraty.

Sprawy własności odnalezionych lub wykopanych przedmiotów o wartości muzealnej reguluje ustawodawstwo bułgarskie. Istnieje spe-



Ryc. 250.

Fot. A. Chętnik.

Muzeum Etnograficzne w Sofji:
Różne sceny z życia ludu bułgarskiego.

cialny „Zakon Zastarynit” według którego wszystko, co jest wykopane, jako starożytność i ma wartość naukową, należy oddawać władzom rządowym. Za samowolne rozkopywanie np. cmentarzysk lub zabieranie i ukrywanie zabytków przewidziane są różne kary. Dzięki takim przepisom w ostatnich latach, szczególnie narodowe muzeum archeologiczne wzbogaciło się w wielką ilość eksponatów, niejednokrotnie pierwszorzędnej wartości naukowej.

Poza muzeami sofijskimi istnieją jeszcze w Bułgarii następujące muzea lub ich zaczątki:

Plewna (Plewen): muzeum z oddziałami archeologicznym i etnograficznym.

Płowdiw (d. Filipopol): muzeum z oddziałami: etnograficznym, archeologicznym, przyrodniczym i bibliotecznym.

Stara Zagora: muz. archeologiczne i oddział etnograficzny.



Ryc. 249.

Fot. A. Chętnik.

Na dziedzińcu Muzeum Archeologicznego w Sofji.

Tirnowo: muz. z działami: historycznym, archeologicznym i etnograficznym.

Szumieni: muz. historyczne, archeologiczne i etnograficzne.

Warna. Było zapoczątkowane muz. archeologiczno-historyczne, oraz muzeum morskie.

Tyle o muzeach.

Co się zaś tyczy pracy, którą możnaby nazwać ludoznawczą lub krajoznawczą, to pod tym względem w Bułgarii istnieją znaczne luki. Pracę naukową prowadzi przy muzeach garść uczonych i pracowników ideowych, z tych jednak niewielu może pozostawać w ścisłym kontakcie ze wsią. Instytucji, podobnej do naszego Tow. Krajoznawczego, w Bułgarii niema, to też i praca, dotycząca tej dziedziny leży odłogiem¹⁾. W miejscowościach bułgarskich z bogatą nawet przeszłością historyczną, trudno o pocztówki z widokami zabytków i osobliwości miejscowych, trudno też o nabycie w księgarniach monografji, opisów ciekawszych zakątków, czy popularnych przewodników z planami wycieczek. Istnieją pojedyncze wyjątki, dotyczące np. stolicy Sofji, ale rzeczy to są ściśle naukowe i drogie, dostępne dla szczupłego grona czytelników. W muzeach bułgarskich, z mnóstwem ciekawych i cennych okazów i zabytków nie widać tańszych katalogów, przewodników, ani fotografii i pocztówek ilustrujących choćby wyjątkowo ciekawe eksponaty. Stąd o muzeach tych mało tak wiemy, a korzyści, choćby propagandowe są mniejsze, niżby być mogły.

W dziedzinie choćby kart pocztowych widzimy pewne usiłowania przedsiębiorców-wydawców, ale dając obrazek, starają się oni pokazać nam przede wszystkim piękne nowoczesne dzielnice miejskie, europejskie kamienice i t. p. To zaś, co interesuje najwięcej historyków lub etnografów jest niedocenione i nie pokazane. Trzeba samemu szukać, opisywać lub fotografować.

A jest tu wiele do zbadania i opracowania. Wszędzie — po wsiach i po miastach — widzimy cenny materiał w budownictwie, ubiorach, sposobach bytowania i przemyśle ludowym — materiał częściowo dopiero wyzyskany dla nauki. I tkactwo, i ceramika, i zdobnictwo,

i pierwotne nieraz gospodarowanie na roli, a przytem muzyka, śpiew, ciekawe i archaiczne zwyczaje i obrzędy — wszystko to czeka na skrętne zebranie i opracowanie¹⁾. Wprawdzie ma już Bułgarja swoich zasłużonych w tej dziedzinie pracowników, w ślad za starszymi podążają pełni zapału młodzi synowie wsi, w pracach ich jednak, poza muzeami, widać dopiero mocny zaczątek. Ale fakt, że ten zaczątek już jest, a potrzeba tej pracy w młodszym pokoleniu pomału dojrzewa. Przyjdzie czas, że poza garstką uczonych i szerszy ogół społeczeństwa bułgarskiego do takiej pracy dojrzeje i usiłowania młodszych poprze. Prądy takie daje się wyczuwać i to już dobry znak na przyszłość.

Zgromadzenie materiałów z dziedziny krajoznawstwa, oraz etnografji i folkloru nie tylko wtedy wzbogaci dorobek kulturalny bułgarski, ale wyświetli niejedno zagadnienie ogólnosłowiańskie, wyprostuje niejedną ścieżkę w dziedzinie pracy porównawczo-naukowej i porozumiewawczej.

¹⁾ Praca ściśle naukowa prowadzona jest przez Bułgarską Akademię Umiejętności, Bułgarskie Tow. Przyrodnicze, Naukowy Instytut Gospodarczy i inne.



Ryc. 251.

Flecionista.

Fot. A. Chętnik.

w Muzeum Etnograficznem w Sofji (Bułgarja).

¹⁾ Wiadomości niniejsze dotyczą stanu rzeczy, jaki był jeszcze przed rokiem.

WŁÓCZĘGI KRAJOZNAWCZE OPOWIADAJĄ...

NAOKOŁO POLSKI W CIĄGU 15 DNI POLSKIMI KOLEJAMI PAŃSTWOWEMI.

(Impresje z okien wagonu).

Muszę zacząć od pochwały P. K. P., która miała znakomity pomysł, wprowadzając z racji Poznańskiej Wystawy, 15-dniowe ulgowe bilety okólne, ważne na wszystkie linje Polskich Kolei Państwowych. Dzięki temu, wykupiwszy taki bilet, zwyktemu obywatelowi Rzeczypospolitej Polskiej, wydaje się iż jest jakimś wielkim dygnitarzem; zdanie to widać podziwiają konduktorzy, albowiem każdemu, który bilet taki okazuje, kłaniają się ze specjalną atencją. Jednym słowem bilety okólne zachęcają do podróżowania zadawalają ambicję obywatela, dają mu poczucie swobody i nieograniczonych możliwości.

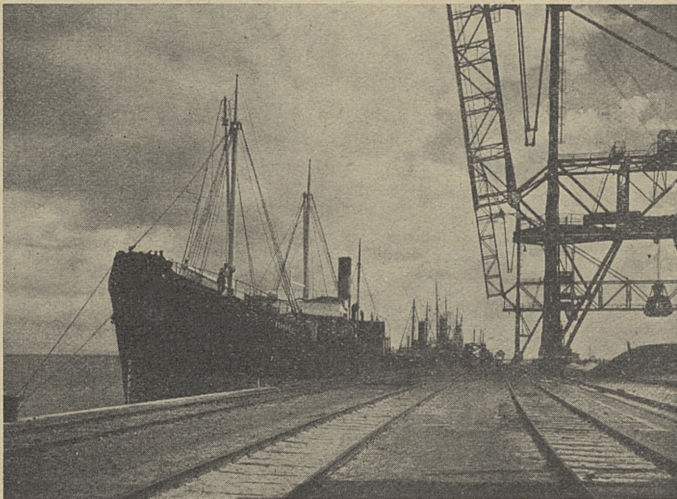
Moim pierwszym celem, był benjaminek i duma całej Polski, nasz jedyny port, oraz kąpielisko Gdynia-Kamienna Góra, wraz z wybrzeżem morskiem. W Gdyni byłem przed rokiem. W ciągu tego roku wszystko się szalenie zmieniło; projektowane ulice, których nazwy tylko były wówczas zaznaczone tabliczkami, stały się rzeczywistością, powstały na nich czteropiętrowe kamienice, zeszłoroczne pola kartoflane, między kolejną a Kamienną Górą są już placami i ulicami, częściowo wybrukowanymi i skanalizowanymi. Powstały bardzo efektowne gmachy: Urząd Poczto-Telegraficzny, Urząd Żeglugi Morskiej, Bank Polski,

Bank Gospod. Kraj., kilka nowych hoteli, kawiarni, Magistrat, Starostwo i t. p. Wzdłuż wybrzeża bulwar rozszerzono i założono skwery. Na Kamiennej Górze przybyły całe nowe ulice; między innymi dwa pierwszorzędne hotele-pensjonaty. Z innych urządzeń rozszerzono komunikację statkami żeglugi przybrzeżnej, powiększono sieć autobusową, urządzając jednocześnie autobusowe wycieczki luksusowymi samochodami do Pucka, Jastrzębiej Góry, Wejherowa, Kartuz, Oliwy i Gdańska. Z okazji tej skorzystałem i wybrałem się do Jastrzębiej Góry, którą zwiedzałem przed dwoma laty. Przekonałem się, że i tam dużo zrobiono i kilkanaście willi przybyło. Rozpoczęto również roboty nad bulwarem wzdłuż wybrzeża morskiego. Wróciłem do Gdyni koleją przez Puck, który się najmniej z pomorskich miejscowości od czasu objęcia ich przez Polskę zmienił. Po dwudniowym pobycie w Gdyni, wyjechałem na noc do Poznania, zdążywszy objechać jeszcze Łódzką port, również ogromnie od zeszłego roku powiększony i zmieniony.

Imponującą wystawę poznańską szczegółowo zwiedziłem w maju, zaraz po jej otwarciu, chciałem sobie tylko niektóre rzeczy przypomnieć i uprzytomnić, oraz obejrzeć kilka pawilonów, które wówczas nie były gotowe.

O wystawie tej tyle się już czytało, że nie chcę się na ten temat rozpisywać. O samym Poznaniu niewiele nowego da się powiedzieć, dzięki wystawie miasto nabrało rozmachu, zjazd różnych ludzi z całej Polski i z zagranicy odświeżył panującą tam atmosferę. Wygląd zewnętrzny miasta i budynków, jak był ciężki, ciemny i trochę obcy, tak i pozostał, tylko niektóre ulice naokoło wystawy stały się miłsze, przybyło trochę ładnych domów o tonach jasnych lub białych i o charakterze polskim.

Z Poznania wyjechałem po południu, gdyż chciałem poznać nową linię kolejową, idącą wprost na Śląsk,



Ryc. 252.

Gdynia. Statki w porcie.

Fot. H. Podębski

omijającą Niemcy, przez Wieluń, Krzepice, Herby. Droga w okolicach Wielunia ładna, pięknie uprawne pola, dużo łąk i lasów. Nowe stacje kolejowe, jak Wieluń, Krzepice, nie podobały mi się, są za ciężkie, być może odpowiadają potrzebom ruchu, ale mało dają zadowolenia estetycznego, o ileż ładniejsze wybudowano, lub odbudowano na Kresach Wschodnich i Północnych.

Dalsza droga od Tarnowskich Gór poprzez serce Śląska, przy wieczornem oświetleniu, rozmachem, ruchem, wielką ilością kopalń, fabryk, wielkich pieców, buchających ogniem, sprawia imponujące wrażenie. Do Katowic przyjechałem przed dziesiątą, a że była niedziela, więc ruch na ulicach i po kawiarniach bardzo duży. Same Katowice mało się zmieniły. Gmach Województwa wykończono, kilkanaście domów w tamtej okolicy wybudowano, przybyła linja tramwajowa do Sosnowca i wogóle ruch tramwajowy rozszerzono. Jest coraz więcej nowych kawiarni i lokalów publicznych polskich, dawne niemieckie zaczynają się im upodabniać; nawet sposób chodzenia, bycia, ubierania się mieszkańców reformuje się. Po prześpaniu się w hotelu, rano ruszyłem w dalszą drogę do Krakowa.

Kraków ciągle stoi na tym samym miejscu, nic się tam nie zmieniło, większych ulepszeń



Ryc. 254.

Kraków. Widok na Wawel.

Fot. H. Podgębski.

ani postępu nie widać, wydaje się jakgdyby wszystko zamarło. Prosto z dworca poszedłem na Wawel, by go obejrzeć w nowej szacie, w jako tako już uporządkowanym stanie. Całość sprawia, według mnie, bardzo dodatnie wrażenie. Komnaty Zamku stały się mieszkalniami. Ściany ozdobiono pięknymi arrasami. Pozatem jest sporo starych mebli, obrazów, zbroi i sztandarów. Tam gdzie zostały się resztki starych malowideł, odświeżono je, częściowo brakujące sceny domalowano. W każdym razie odbudowa Wawelu jest wielkim dziełem i zasługą niemałą.

Po południu pojechałem do Wieliczki, której dotąd, przynajmniej ze wstydem, nie znałem. Wieliczka jest bezwzględnie bardzo ciekawa, choć trochę mnie rozczarowała. Nie wiem, czy może dlatego, że oprowadzają tylko po starej części kopalni, która nie jest czynna; w każdym razie ma się wrażenie martwoty.

Z drogi powrotnej Wieliczka — Kraków, muszę opowiedzieć epizod, charakterystyczny dla porządków, panujących jeszcze na kolejach w Małopolsce, a zwłaszcza w Dyrekcji Krakowskiej. Otóż chodzą między Krakowem a Wieliczką wagony motorowe bardzo prędkie i dobrze urządzone. Zatrzymują się one według rozkładu na stacjach: Wieliczka I, t. j. właściwa stacja i Wieliczka-Rynek, będąca końcową, skąd zaraz te wago-



Ryc. 253.

Katowice. Gmach województwa. Fot. H. Podgębski.

ny wracają, brak tam bowiem wszelkich urządzeń stacyjnych. Wyszedłszy tedy z kopalni, mając jeszcze czas, zamiast wsiąść na Rynku, najspokojniej skierowałem się do właściwej stacji, gdzie w niewinności ducha stałem na peronie przy poczekalniach w oczekiwaniu mego pociągu. Tymczasem na krótko przed jego przybyciem, nadszedł długi towarowy pociąg z przeciwnej strony, jednocześnie dwa inne pociągi zaczęły manewrować i zawały wszystkie wolne dotąd tory do dziewiątego, gdzie akurat usłyszałem jak zajechał, widzieć go nawet nie mogłem, mój motorowy pociąg; tunelu na stacji w Wieliczce niema, więc pomimo moich gimnastycznych wyczynów i skoków, poprzez w biegu będące wagony towarowe, nie mogłem go dosięgnąć, gdyż zresztą po bardzo krótkim postoju ruszył w dalszą drogę, pozostawiając mnie i kilku innych pasażerów, jak widać również nieświadomych, na wielickim bruku, a raczej peronie. Okazało się, iż pociąg motorowy staje na 9 torze w polu, a nie na stacji i że do niego jest tylko dojście przez przejazd, odległy od stacji o jakiś kilometr, napisu zaś na stacji, zawiadamiającego o tem niema. Wskutek tego musiałem

przeszło godzinę czekać na zwyczajny pociąg, odchodzący już z głównej stacji i który na przebycie 12 kilometrów do Krakowa, potrzebuje ni mniej ni więcej, tylko 28 minut.

W Krakowie miałem dzięki temu incydentowi bardzo mało czasu, zdążyłem zaledwie trochę się przejść i zjeść kolację, na noc bowiem ruszyłem w dalszą drogę do Zakopanego, gdzie stanąłem z normalnem, t. j. 40-to minutowem opóźnieniem, około godziny 7-ej rano.

Zakopane przyjęło mnie wyjątkowo piękną pogodą, co jak wiadomo jest w porze letniej dosyć rzadkie. Nie byłem tam blisko trzy lata, więc chciałem się przekonać jakie na mnie ta letnia stolica Polski po tak długiej nieobecności sprawi wrażenie. Samo Zakopane choć się bardzo rozrosło, wskutek chaotycznego i bezplanowego stawiania ogromnych kilkopiętrowych kamienic o charakterze raczej miejskim, obok pozostałych jeszcze z dawnych czasów wdzięcznych zakopiańskich drewnianych domków, zbrzydło i nabrało wyglądu zwykłego prowincjonalnego miasteczka. Ulice jednak już nieco uporządkowane, trotuary i bruki dosyć przyzwoite przybyło trochę



Ryc. 255.

Zakopane. Widok ogólny.

Fot. H. Poddębski.

eleganckich sklepów. Moc samochodów prywatnych z tabliczkami wszystkich województw, nie brak i zagranicznych, sporo taksówek, pozatem stale zapelnione autobusy do Jaszczurówki, Kuźnic, Morskiego Oka, Szczawnicy, kursujące w regularnych odstępach czasu; ulica roi się od ludzi; z tradycyjnych kawiarni: Trzaski, Morskiego Oka, Karpowicza i innych bez tradycji, dochodzą echa muzyki i widzi się przez okna pełno par tańczących, a zdała słycać muzykę wojskową, z założonego przed kilku laty bardzo miłego parku kuracyjnego. Po obiedzie wyjechałem autobusem do Morskiego Oka. Pod schroniskiem w Morskim Oku jak zwykle sznury samochodów, dorożek i furek, nabrało tylko to wszystko trochę międzynarodowego posmaku, dużo cudzoziemców, szczególnie Niemców.

Wyjechałem z Zakopanego na drugi dzień o godzinie 7-ej rano. Marszruta prowadziła przez Nowy Targ, Chabówkę, Rabkę, Nowy Sącz do Żegiestowa, gdzie przybyłem około 1-ej w południe. W Żegiestowie zatrzymałem się trzy godziny, co mi wystarczyło, by obejrzeć całe to niewielkie i spokojne, lecz bardzo pięknie położone uzdrowisko. Leży ono na płaskowzgórzu, otoczonem z trzech stron pagórkami, z otwartą południową stroną, poniżej płynie Poprad, poza którym zdała wylaniają się czeskie Karpaty. Dom zakładowy w Żegiestowie, nowozbudowany i murowany o charakterze modernistycznym, o dużych pustych płaszczyznach nie zachwyił mnie, trzeba jednak przyznać, że posiada wszelkie wygody. Naokoło niego ugrupowały się w podkowę pozostałe wille i pensjonaty, okalając duży, ładnie zadrzewiony i ukwiecony skwer, który stanowi właściwy tak zwany deptak i gdzie gra muzyka, piękny las schodzi po łagodnych zboczach na ową promenadę.

Dalszym moim etapem była Krynica, odległa od Żegiestowa koleją o godzinę, gdzie



Ryc. 256.

Lwów. Widok ogólny z kopca Unji.

Fot. H. Poddębki.

spędziłem resztę popołudnia, i część wieczoru. Krynica w ciągu ubiegłych dwóch lat ogromnie się rozbudowała. Ulice wyasfaltowano, moc nowych hoteli, pensjonatów, wszystko murowane, gmachy reprezentacyjne, jak Dom Zakładowy, Nowe Kąpiele i inne, budowane z rozmachem, pijalnie wód, pawilon dla muzyki i inne kioski ładne i ukwiecone. Odwrotną stroną medalu jest ogromny ruch, gwar i hałas, przytem mieszane i nieciekawe towarzystwo. Obok wystrojonych pań i panów, okropne typy z ghatt wielkowiejskich lub zapadłych dziur najgłębszej prowincji. Stacja zupełnie nie odpowiada stanowisku reprezentacyjnemu Krynicy, jako pierwszego uzdrowiska Polski. Jest to ciasna, brudna, źle oświetlona buda, pochodząca z przed wojny.

Przenocowawszy w Tarnowie, we względnie czystym hotelu, choć pociąg mój do Przemysła odchodził dopiero o 10-ej, wstałem wcześnie, gdyż chciałem poznać miasto, w którym coprawda niezbyt wiele jest do zwiedzenia. Z osobliwości tarnowskich, wymienionych w polskim „Baedekerze” (Orłowicza—Pologne), jest tramwaj elektryczny, ratusz stary i katedra z pięknym grobowcem jednego z Tarnowskich, nie pamiętam którego, oczywiście skrupulatnie dostosowałem się do tych wskazań i, przejechawszy się tramwajem, zwiedziłem jedną i drugą osobliwość, zaznaczoną gwiazd-

kami. Po dopełnieniu tego obowiązku, wsiałem do pociągu i ruszyłem w dalszą wędrówkę w kierunku południowo-wschodnim ku Przemyślowi. W Przemyślu niestety nie mogłem się choć na krótko zatrzymać, gdyż rozkład jazdy kazał mi niezwłocznie przesiąść się do bezpośredniego pociągu, idącego do Drohobycza i Truskawca, który miał być moim następnym etapem. Droga ładna, wkrótce też przywitały mnie znowu góry, które poprzedniego dnia na szlaku Zakopane-Krynica opuściłem. Nie są one tu zbyt imponujące, ale zato miłą dla oka i świeżą zielenią pokryte. Ziemia koło Chyrowa, gdzie zdala dominuje znane gimnazjum Chyrowskie, utrzymywane przez Jezuitów, wydaje się bardzo żyzna, moc sadów owocowych, zwłaszcza koło Sambora, sprawiającego wrażenie ruchliwego miasteczka. Do Drohobycza zajechałem o pół do 8-ej wieczorem, po blisko dziesięciogodzinnej jeździe; miałem więc na ten dzień dość koleji, a że i tak na odcinek Drohobycz — Truskawiec, będący prywatną własnością, musiałbym wykupić oddzielny bilet, zdecydowałem się, do spółki z przygodnym towarzyszem podróży, wziąć samochód (wypadło 5 złotych na osobę) i w ciągu 20 minut, kolej na to potrzebuje 3 kwadranse, byłem w Truskawcu. Pokój dostałem w czystym i nowym hotelu

„Światowidzie” z bieżącą wodą w umywalni. Wogóle trzeba przyznać, iż u nas w ostatnich latach dużo zmieniło się. Nawet w małych prowincjonalnych miasteczkach, nie mówiąc już o miejscowościach kuracyjnych, można w najskromniejszych hotelikach i zajazdach nocować bez obawy, czystość obecnie prawie wszędzie bez zarzutu, zbędnych „współlokatorów” ani śladu, pościel wszędzie świeża, usługa dobra i uważna. Zasługi ministra Składkowskiego są w tym względzie nieocenione.

Wracając do Truskawca, trafiłem na wielką uroczystość: imieniny pana „Marszałka” Jarosza, jak tytułują właściciela Truskawca. Gdy zaszedłem do parku zdrojowego, odbywało się właśnie „coram publicis” składanie życzeń przez notabli powiatu, urzędników i służbę zdrojową; muzyka, pochód straży ogniowej, iluminacja; zaraz potem rozpoczęły się uroczystości jedzeniowe w trzech salach a następnie tańce.

Sam Truskawiec bardzo mi się podobał, cała miejscowość razem z pensjonatami, kąpielami i pawilonami-pijalnicami, stanowi jeden bardzo starannie utrzymany park, łagodnie się wznoszący i zamieniający się stopniowo w piękny las. Ulice czyste, dobrze wyszosowane, bez kurzu, oświetlone elektrycznością wille, wprawdzie większość drewnianych, ale mają one pewien styl, ładne klomby i pomysłowe dekoracje kwiatowe. O sławnych wodach truskawieckich słowa nie powiem, nie znam się na tem.

Odespawszy zmęczenie z poprzedniego dnia, od samego rana zacząłem oglądać Truskawiec. Około jedenastej wzięliśmy z moim dawnym kolegą, który był tam na kuracji, samochód i wybraliśmy się na zwiedzenie Borysławia i Drohobycza, oddalonych od siebie o kilkanaście kilometrów.



Ryc. 257.

Lwów. Ulica Legjonowa, w głębi Teatr Miejski.

Fot. H. Poddębski.

Borysław najefektowniej wygląda zdala w nocy, gdy światła palą się, zbliska i w dzień sprawia przygnębiające wrażenie. Nigdzie nie widziałem tak zaniedbanych domów i ulic, złe lub prawie wcale niebrukowanych, bez trotuarów; domy, a właściwie chałupy parterowe, najwyższej z piętrową nadbudówką, przytulają największą nędzę, co zamożniejsi mieszkają w



Ryc. 258.

Wilno. Widok ogólny.

Fot. H. Podębski.

Drohobyczu i dojeżdżają tylko do Borysławia, wskutek czego magistrat Borysławia niema środków na inwestycje. Przejazd przez Borysław sprawia wrażenie czegoś beznadziejnego, jedynie szyby naftowe, a zwłaszcza drewniane wieżyczki wiertnicze, nadają miastu odrębny wygląd. W przeciwieństwie do Borysławia, Drohobycz, zupełnie inaczej wygląda. Miasto dosyć czyste, przyzwoicie wybrukowane, na Rynku i na ważniejszych arterjach asfalt, dużo domów i pałaców króli naftowych, wyższych urzędników, inżynierów, pośredników oraz różnych spekulantów. Z reprezentacyjnych gmachów zwraca uwagę świeżo zbudowany ratusz, z bardzo wysoką wieżą, ozdobioną czterema ogromnymi orłami, pozatem kilka ładnych banków i urzędów. Z zabytków, najciekawsza jest stara drewniana cerkiewka z XIII wieku, pełna oryginalnych relikwii, z prymitywnymi obrazami, malowanymi na ścianach, starożytnym krzyżem, ornatami; wyjątkowo ciekawy jest przy drzwiach wejściowych, zamek z ogromną kłódką o oryginalnym kluczu, istniejącym jakoby od powstania tej cerkiewki, przekazywanym z rąk do rąk i z ojca na syna; obecny dozorca mówił, że już w jego rodzinie dostojęństwo to piastują 150 lat. Żał mi było wychodzić z tej cerkiewki, ale samochód czekał, przytem za-

raz po obiedzie wybierałem się w dalszą drogę do Lwowa.

Lwów uderzył mnie wzmocnieniem się znacznym tempa ruchu ulicznego; wystawy sklepowe zyskały na okazałości i bogactwie, pojawiły się również reklamy świetlne. Ulica Akademicka (lwowska Marszałkowska i Nowy Świat) nabrała wielkomiejskiego rozmachu, dzięki poszerzeniu i przeprowadzeniu przez środek skweru, ozdobionego kwiatami. Punkt ciężkości przeniósł się tutaj z Alei Legionów, która zwłaszcza w części koło Teatru Miejskiego stawszy się czarną giełdą i targowiskiem, przestała być elegancką promenadą Lwowian i nabrała charakteru warszawskich Nalewek.

Niezależnie od tego skonstatowałem z przyjemnością, iż miasto stało się znacznie czystsze: ulice w śródmieściu i te, które widziałem, jadąc od dworca, otrzymały ulepszone bruki granitowe z drobnej kostki lub asfaltowane. Niestety nie mogłem się długo we Lwowie zatrzymać, ale i to co widziałem z tego najmilszego dla mnie w Polsce zakątku, po Warszawie oczywiście, sprawiło mi dużą satysfakcję. Na każdym kroku znać postęp i dbałość o wygląd zewnętrzny miasta. Wrażenie to podnoszą jeszcze sami mieszkańcy Lwiewo Grodu, najsympatyczniejsi ludzie pod słońcem. Lwowianie są właściwie jedynymi południow-

camii Polski z usposobienia, charakteru, bez-
troskiego humoru, bardzo czynni, ruchliwi i wzru-
szająco uprzejmi. Tą apologią zakończę moje
wrażenia ze Lwowa, gdyż czas nie czeka,
a zwłaszcza mój bilet okólny, który gna mnie
dalej. Odpocząwszy tedy jedną noc, ruszyłem
w dalszą wędrówkę na Sapieżankę, Sokal, Wło-
dzimierz Wołyński do Kowla. Droga przez
Wołyń bardzo ładna; znać, że ziemia tu uro-
dzajna, zboże piękne zebrane, na polach w ko-
py niskie, szeroko ułożone, pozatem plantacje
chmielu, tytoniu, wszystko gęsto przetykane
sadami owocowymi, również liczne łąki z ogrom-
nymi stadami krów, owiec, koni, krajobraz uro-
zmaicony i barwny, ludność wiejska dorodna,
dostatnio i barwnie ubrana. W wagonie słyszy
się coraz więcej akcent kresowy, ludzie ser-
deczniejsi, bardziej wylani, pociąg cały prze-
pełniony, na każdej stacyjce, zwłaszcza do III
klasy napływają istne procesje, podziwiam, jak
się to mieści w ciasnych wagonach.

W Kowlu, korzystając z dłuższego postoju,
udałem się na zwiedzenie miasta. Miasto czy-
ste, przyzwoicie wybrukowane, ulice szerokie,
główna ulica, Łucka, po brzegach wysadzona
podwójnym rzędem drzew, kwietniki starannie
utrzymane, sprawia miłą niespodziankę; niejed-
no większe miasto w środkowej Polsce, czy
w Poznańskim i na Pomorzu mogłoby sobie
z Kowla wziąć przykład. Wogóle muszę pod-
kreślić, że największy postęp, pod względem
porządków, bruków, urządzeń i inwestycyj miej-
skich, wykazują miasta kresowe, zwłaszcza na
Wołyniu, różnica od czasów przedwojennych,
lub nawet z przed 3—4 lat wprost zdumiewająca.

Następnym moim etapem był Brześć, gdzie
przenocowałem w bardzo czystym i porządnym
hotelu Angielskim, znajdującym się tuż przy
stacyi. Z miasta nie wiele widziałem, gdyż przy-
jechałem późnym wieczorem, a następnego dnia
wcześnie rano miałem ruszyć do Pińska. Przy-
znam się, iż miałem ogromną ochotę tu mój
raid zakończyć, gdyż był to już zdaje się dwu-
nasty dzień w pociągu, w dodatku, panujące
upały i stałe natłoczenie w przedziałach zmę-
czyły mnie, a że akurat stał na peronie rów-
nocześnie pociąg, idący do Warszawy, z tru-
dem opanowałem chęć wskoczenia do tegoż,
zamiast dalszego tłuczenia się rozmaitemi oso-
bówkami P. K. P.

Od Brześcia krajobraz się zupełnie zmie-
nił, zamiast wesołych pól, „malowanych zbo-
żem rozmaitem” widać było tylko piaszczystą
lub błotnistą równinę, pokrytą nędzną trawą,
gdzie pasło się mizerne bydło, gdzieniegdzie
lasy, ale nie takie wielkie i gęste, jak je so-
bie wyobrażałem.

Lud w szarych długich zgrzebnych koszu-
lach, wypuszczanych na spodnie, względnie
spódnice, boso, lub w postołach związanych
sznurkami. Kontrast, z oglądanym poprzednie-
go dnia barwnym Wołyniem wprost uderzają-
cy, wzbudza poczucie jakiejś niesprawiedliwo-
ści, dlaczego taka ogromna różnica w tak bli-
sko siebie położonych prowincjach.

Pińsk, choć nie jest tak przyzwoicie wy-
brukowany i uporządkowany jak Kowel, przed-
stawia się naogół nieźle. Jest tam kilka nowych
gmachów, między innymi gimnazjum męskie
i żeńskie, niedaleko stacyi kilkanaście ładnych
domów dla kolejarzy, bank, hotel i restauracja
i t. p. Ze starych zabytków zwraca uwagę
ogromna kolegiata Jezuitów, panująca nad mia-
stem, wewnątrz nieciekawa, oraz kościół
katedralny, zniszczony, ale posiadający bardzo
piękne ołtarze. W Pińsku jest obszerny port
rzeczny, wojenny. Za mojej bytności, poziom
wód był względnie niski, ale pomimo tego jeź-
dziłem motorówką ze dwie godziny po Pinie,
Strumieniu, jeziorze oraz różnych kanałach nao-
koło Pińska i miałem wrażenie niekończącego
się obszaru wodnego, przetykanego licznymi
wysepkami, bądź piaszczystymi, bądź pokryte-
mi wysoką trawą. Życie całe koncentruje się
na wodzie, wszędzie widać płynące łódki i tra-
twy wyładowane sianem, owocami, towarami
i różnymi przedmiotami codziennej potrzeby,
nawet widziałem jak trumnę ze zwłokami odwo-
żono na łodzi do kościoła. Pełno kąpiących
się i plażujących.

Ludność miejska w Pińsku, jak wszędzie
na Kresach Wschodnich, to przeważnie Żydzi,
mówiący między sobą w żargonie, ale znają
oni wszyscy polski, polszczyzna jest szczegól-
niej rozpowszechniona między młodemi dzie-
wczętami, które używają jej chętnie. Wogóle
ludność żydowska na Kresach Wschodnich,
wygląda znacznie kulturalniej, niż w Polsce
Środkowej i Południowej, nie różni się ubra-
niem, chałatów, mycek ani pejsów nie nosi,

tak że na pierwszy rzut oka trudno ją nawet od innych odróżnić. Poza to wskutek silnych widać rygorów ze strony policji, ludność tamtejsza, daleko posłuszniej zastosowuje się do nakazów o utrzymanie czystości około siebie i znać że podwórza, domy i ulice przed domami, są skrupulatnie sprzątane i zamiatane. Ogólne więc wrażenie, jakie z miast wschodnich wyniosłem, to daleko większa czystość niż gdzieindziej. Wraca-



Ryc. 259.

Druskieniki. Jedna z ulic.

Fot. H. Poddębki.

jąc do języka, to jak nadmieniałem, poza polskim i żydowskim o zupełnie odrębnym akcentcie, niż w Kongresówce i Małopolsce (dodam iż szyldy i napisy są prawie wyłącznie polskie, mniej żydowskich niż w Warszawie w nalewkowskiej dzielnicy) słychać trochę mowę rosyjską, głównie wśród byłych studentów i starszego pokolenia zamożniejszych żydów, białoruski i ukraiński jest po miastach bardzo mało rozpowszechniony, napisów i szyldów w tych językach mało, rosyjskich wcale niema.

Na zakończenie mojej wędrówki udałem się jeszcze do Wilna i Druskienik, tego pierwszego nie widziałem od 1922 roku. Ulice mniej więcej uporządkowano, bruki możliwe, dawne nawpół zgniłe drewniane chodniki, będące pułapkami na ludzi, szczególnie podczas deszczu, zniknęły, ustępując miejsca flizom; piękne stylowe kamienice oczyszczono i otynkowano na biało lub jasno-szaro, nie rażą jak dawniej kakofonią brudnych kolorów, które mi dawniej władze rosyjskie upstrzyły państwowe budynki. Poza to przybyła regularna autobusowa komunikacja i Wilno chlubi się czterema linjami, wozy dobre, chodzą co kilka minut; przystanki, w formie słupów szklanych, na sposób warszawski pokryte reklamami barwnymi, artystycznie wykonanymi.

Z pięknych gmachów i kościołów, przede wszystkim wyróżnia się kościół katedralny św. Stanisława w klasycznym stylu, o szlachetnych linjach. Inne kościoły wileńskie mniej mi się podobają nawet bardzo ciekawy kościół św. Anny, gdyż nie lubię ponurego gotyckiego stylu. Dużo uroku dodaje Wilnu rzeka Wilja, wijąca się przez miasto, i jej malownicze okolice. Do tych należy klasyczna wycieczka statkiem do Werek, droga ładna, ale Werki same pod względem położenia przereklamowane, po drodze widziałam ładniejsze miejscowości, jak np. Trynopol. Również słynne „Zielone jezioro”, oddalone od Wilna o kilkanaście kilometrów, położone w dużym lesie, sprawiło mi pewien zawód. Natomiast Troki, dokąd pojechałem następnego popołudnia samochodem, a zwłaszcza jezioro Trockie zachwyciło mnie, blisko dwie godziny przepędziłem tam na wodzie i żal było wyjeżdżać. Miasteczko samo bardzo ciekawe, czyste, sławne z posiadania największych i najlepszych sadów warzywnych, uprawianych przez nielicznych karaimów.

W powrotnej drodze z Wilna do Warszawy zatrzymałem się w Druskienikach. Druskieniki poznałem w roku 1926. Wówczas po spaleniu podczas wojny, odbudowa rozpoczęła się dopiero. Teraz po trzech latach wi-

dać już pewną, choć powolną poprawę, powstało trochę murowanych pensjonatów, skanalizowanych z wodociągami i elektrycznym oświetleniem, skromnie zresztą umeblowanych. Ulice zaczynają szosować, dużo jednak widać ulic zarośniętych trawą; przybyły gdzieś trotuary, park niewielki, kąpiele dosyć porządnie urządzone, oczywiście wszystko na skromną skalę. Za to położenie nad Niemnem nieporównane. Duże lasy, schodzące aż do samego brzegu rzeki, jeziora o niezwykłym uroku, moc spacerów, a przede wszystkim ów Niemen, najpiękniejsza polska rzeka. W tym roku urządzono poraz pierwszy w Druskienikach na wysepce naprzeciw litewskiego brzegu bardzo piękną plażę. Stosunki z „zagranicą” żadne; od czasu do czasu tylko widać litewską łódź strażniczą, płynącą wzdłuż własnego brzegu.

Pobyt mój w Druskienikach tym razem bardzo krótko trwał, gdyż bilet mój już upływał. Na tym więc zakończyłem moją piętnastodniową podróż po Polsce. W ciągu tego czasu przejechałem 3715 kilometrów. Codzień spałem w innej miejscowości na innym łóżku, nie licząc 5 nocy, które spędziłem w wagonie i to nie sypialnym. W dzień jeździłem przeważnie osobowemi pociągami, zatrzymującami się po wszystkich dziurach (na większych stacjach długie postoje), dzięki czemu mogłem lepiej poznać okolicę i wejść w kon-

takt, chociaż powierzchowny, z mieszkańcami. Z tego wszystkiego przekonałem się naocznie, porównując, widziane obecnie miejscowości, z których większość znałem już z moich poprzednich podróży po kraju, iż u nas się jednak ruszają i idą z postępem czasu. Miasta, i miasteczka, uzdrowiska i nawet wsie prawie we wszystkich częściach Polski w mniej, lub większym stopniu przekształcają się, również i ludzie nabierają nowych pojęć, wzrastają potrzeby i wymagania. Z roku na rok widać stanowczą zmianę, drogi są coraz lepsze, po miastach pojawiają się bruki i trotuary, nawet w zdawałoby się, zabitych na cztery deski miejscowościach, zaczyna się mówić o kanalizacji i wodociągach, a co najważniejsze w najgorszych dziurach można już obecnie przenocować, co byłoby jeszcze przed trzema czterema laty rzeczą bardzo ryzykowną i, wymagającą dużego samozaparcia i rezygnacji z najprymitywniejszych kulturalnych wymogów. Mamy jeszcze moc braków, którym nie można z miejsca zaradzić i co wymaga czasu i przede wszystkim pieniędzy, ale porównując to co było dawniej, z tem co jest obecnie, wyniosłem z podróży mojej bardzo dużo zadowolenia i przyjemności i, hasłem: „W górę serca, precz z bezpłodnym pesymizmem” kończę te moje wagonowe impresje.

Tadeusz Reicher-Sosnowski.

Z PIŚMIENNICTWA.

Źródła Mocy¹⁾ numer 5 prawie cały poświęcony jest tematowi krajoznawczym. *Bronisław Rydzewski* daje artykuł o wsi „Bohatyrowicze”, owianej legendą ciągle żywą wśród okolicznej ludności. Odnajdujemy ją w „Nad Niemnem” *Orzeszkowej*. *Wanda Dobaczewska* podaje garść legend, przeważnie nowszego pochodzenia w rozdziale: „Legendy wileńskie i nowogródzkie”. *Helena Romer-Ochenkowska* daje szkic „O Bazylianach”, porusza w nim sprawę unji, do której wraca w tym samym numerze sprawozdawca wydawnictwa „*Analecta Ordinis S. Basilii Magni*” i apeluje do większej uwagi u nas na tę sprawę. *Emil Zegadłowicz* rzuca piękny szkic o znaczeniu

gór dla psychiki ludzkiej w drobnej syntezie: „*Światło z Gór*”. Bardzo bogaty dział: „Z życia ziem naszych” mieści rzecz „O wytwórczości roślinnej w woj. Wileńskim” (*Z. Hartung*), „O dawnych jarmarkach w Żelwie i Grodnie” (*J. Jodkowski*) i typową opowieść krajoznawczą *Mieczysława Limanowskiego*: „Z Wilna do Sopoćkin”. Żywością stylu, ruchliwością wyobraźni, zdolnością do błysków syntetycznych rzecz ta przywodzi nam na pamięć najlepsze nasze tradycje w literaturze, „*Obrazy z życia i przyrody*” *Wincentego Pola*. Z innych dziedzin mamy tu artykuł *Ferdynanda Ruszczyca*: „Wspomnienia dni Mickiewicza w Paryżu”, ujęty bardzo indywidualnie i trzy artykuły literackie (prof. *S. Pigonia*, *W. Hulewicz* i *W. Piotrowicz*).

Szczególną jednak uwagę czytelnika chcie-

¹⁾ „*Źródła Mocy*”, czasopismo krajowe, poświęcone kulturze ziemi b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rok III, zes. 5, str. 150. Wilno, 1929.

libyśmy zwrócić na artykuł wstępny *M. Limanowskiego* pod tytułem: „O Poznaniu—głos z Wilna”. Ściśle biorąc, jest to artykuł o Wystawie Poznańskiej.

Autor streszcza w krótkim przebiegu główne potencjały tego dzieła, policzonego Poznaniowi jako jego zasługa niezapomniana. Przypomina potem pamiętne zasługi Poznania wobec kresów w pierwszych latach niepodległości, takie o których wiemy i takie, o których nie wiedzieliśmy. Dowiadujemy się np., że w swoim czasie (1919) Poznańskie zaproponowało Warszawie, że każde miasto wielkopolskie gotowe jest wziąć miasto inne w opiekę i w ten sposób ułatwić gospodarstwo ogólne uzdrowienie kraju. Ofertę tę odrzucono w Warszawie, tłumacząc się, że stolica jest od tego. Ileż tem wyrządzono szkody, nietylko w złagodzeniu skutków szalejącego wówczas niedostatku, ale i w kierunku uczuciowej unifikacji kraju! O tak prostej i żywej sprawie humanitarnej zadecydowała umysłowość polityków o scholastyczno-talmudycznym rodzaju. Chodziło zapewne o jakieś partyjne tref i koszer w tej dziedzinie.

I dopiero oddawszy Poznaniowi co mu się należy, Limanowski uderza na ów krzyczący, bijący w oczy, trudny do wytrzymania, mocno nas podający w lekceważenie, pokraczny, snobistyczny, wszelkiego polskiego wyrazu pozbawiony styl architektoniczny całego olbrzymiego kompleksu budynków wystawowych, który tak raził i bolał nas wszystkich, zżytych z gniazdowymi formami budownictwa polskiego, a o którym Limanowski miał odwagę napisać otwarcie już po zamknięciu wystawy, aby samej imprezie nie zaszkodzić a jednak rzucić ostrzeżenie na przyszłość, by błąd podobny nie mógł być powtórzony. Wagę i doniosłość takiej sprawy jak charakter architektoniczny wystawy, jak kwestja jej formy, i naszą przegraną na tym punkcie uprzytomnimy sobie lepiej, zestawiając ją z wystawą w Barcelonie, która się odbywała równocześnie z wystawą poznańską. Tam, w Hiszpanji, dzięki poczuciu narodowemu jej budowniczych, oczy widza śmiały się do tych form szlachetnych, jarzących się w słońcu. U nas w tym najnudniejszym najprostszym stylu pudełkowym, zalewającym wystawę, widz czuł czcóż pobudzającą szczęki do gwałtownego ziewania.

Rozzało i rodzało to Limanowskiego. „Kiedyś w *Simpliciossymusie*, niemieckim piśmie humorystycznym” — pisze — „narysował T. T. Heine bolesną karykaturę. Oto przez granicę leciała bielizna podarta i brudna. Francuzi wyrzucali rzeczy, które Niemcy z patosem chwyтали w swoje ręce. Taką karykaturę możnaby teraz narysować, myśląc o wy-

stawie nad Wartą...” „Zewnątrz to Berlin, to Kurfürstendamm”... Cóżby było, gdyby w Poznaniu, w Krakowie, w Warszawie, w Lublinie, we Lwowie wielcy ojcowie nasi zamienili się byli w ludzi kopjących to co obce. Anglik, który dziś podziwia polskie Sukiennice albo Pannę Marję, Wawel albo Boże Ciało, który niema słów na oddanie tego co w nim budzi Wilno, jest właśnie probierzem, że jesteśmy o tyle — o ile siebie dajemy.

A dalej: „Byłoby ciekawem oglądać wystawę odrzuconych projektów, które nadeszły do Poznania i przez to zweryfikować tę kolekcję, która zmusiła toczyć się całej wystawie jak czarownica na miotle, bo nie wierzę, aby w Polsce nie było architektów, którzy mają oczy otwarte dla baroku polskiego, o którym się coraz bardziej głośno mówi w Paryżu i który jakiś nowy Emil Måle pokaze światu...” „Cudzoziemiec, który przyjedzie do Poznania, zobaczy Polskę koszarową niemal, okropnie zamydloną, bezduszną niemal, twór bez wyrazu... na wystawie poznańskiej widać, że Polacy nie znają Polski”. — „Duch miast naszych wewnątrz budynków miast zaczyna znajdować swoje formy. Każde nasze miasto posiada swój wyraz i język. Dać klucz do poznania tego ducha, oto jest stokrotnie wyższa rzecz dla architektki, niż buszowanie po pismach berlińskich i drezdeńskich i kalkowanie...”

Uwagi swe kończy autor prośbą: „Wdzięczność nieskończona dla ziemi pierwszych rapsodów Króla Ducha, popielowej i piastowskiej ziemi. Zarazem pokorna nasza prośba: *uwierzyć, że jest polska forma*. Czas budować Polskę w formie. Treść mamy. O tę treść będziemy jak wszędzie tak i tu z Wilna dalej się bili. Będziemy ją weryfikowali, sprawdzali, na drogę prawdy skierowywali z powrotem, skoro się zawieruszy. Przeczuwając, że Wystawa Poznańska rozpoczyna pochód nasz w kierunku już prawdziwego jednoczenia się Polski, budowania w niej ciała nie w sztuczny sposób ale na Prawdzie, prosimy nie zapomnieć naszego głosu: nieporozumieniem jest to, czem nakryliście pełne krwi serdecznej życie naszego narodu. Udzieliliście mu gościny, przez co jesteście w tej chwili jak ów gospodarz Piast, który przyjął do swej chałupy Aniołów. Serce Polski też mieszka u was w tej chwili... Zarzut nasz — żeście przyjmując Aniołów i wiedząc, że to są Aniołowie, na chwilę się przestraszyli, że dom nasz, prosta chałupa, prosta forma, może być za nikczemny i za prosty dla gości spadłych z nieba”.

Cytujemy te ogniem pisane uwagi, wiedząc o tem, że perjuryk *Zródła Mocy* jest

dotąd u nas mało znany i mało rozpowszechniony, mimo, że wagą i siłą myśli własnych rodzimych, nie zapożyczonych, z gruntu ziemi i wieków wyrosłych a przez to twórczych i pobudzających, pismo to dzisiaj wybija się na czoło naszego piśmiennictwa tą masą światła i ciepła jakie z siebie rzuca, z siebie, to znaczy z własnej piersi, z własnego światła wzruszeń i idei.

g.
Wydawnictwa nadesłane:

Tadeusz Seweryn. Pokucka majolika ludowa. Prace Komisji Etnograficznej P. A. U. Nr. 11, str. 107; ilustracje. Kraków, 1929.

Ludomir Sedlaczek. Dragowiczanie. Studjum antropologiczne. Przyczynek do paleoetnografii Białej Rusi. Prace Komisji Antropologii i Prehistorji P. A. U., Nr. 2, str. 55, tablic 5, map 2. Kraków, 1929.

Wacław S. Laskowski. Słowniczek krajoznawczy miejscowości powiatu sandomierskiego. Str. 77. Sandomierz, 1929.

Wiesława Cichowicz. Przewodnik ilustrowany po dziale ludoznawczym im. H. i W. Cichowicz w Muzeum Wielkopolskiem w Poznaniu. Str. 29, 1929.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

Posiedzenie Rady Głównej. W dn. 4 listopada odbyło się posiedzenie Rady Głównej P. T. K. pod przewodnictwem prezesa, inż. Słomińskiego. Na zebraniu tem zostały omówione sprawy następujące:

1. Ustalono zasady opracowania „Słownika Geograficznego Ziem Polskich”. Przyjęto tekst memorjału, który zostanie przedstawiony p. premierowi, oraz pp. ministrom: Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. z uchwałami Kongresu Krajoznawczego, w stosunku do szkolnictwa, p. ministr. Spr. Wojsk., p. ministrowi Spraw Wewnętrznych, z uchwałami Kongresu w stosunku do urzędów wojewódzkich i powiatowych, p. ministr. Robót Publ. wraz z uchwałami Kongresu w sprawach turystyki.

2. Przyjęto opracowane przez Sekretarza Rady:

a) regulamin dla Okręgów Wojewódzkich P. T. K., który obowiązywać będzie podczas tegorocznej roboty organizacyjnej Okręgów, następnie zostanie dla ostatecznej redakcji przedstawiony Zjazdowi Delegatów;

b) zmiany w regulaminie dla Oddziałów P. T. K. w związku z nowym statutem;

c) regulamin ramowy sekcji P. T. K., na podstawie którego Rada przystępuje do orga-

nizacji Sekcji Turystyki Narciarskiej Towarzystwa;

d) regulamin kancelarji Rady Głównej P. T. K.

3. Przyjęto przedstawiony przez vice-prezesa Rady, dra M. Orłowicza, program działalności P. T. K. w zakresie spraw turystycznych.

4. Rada Główna przyjęła do wiadomości zatwierdzającej sprawozdania i zamierzenia programowe w zakresie uporządkowania: a) spraw muzeów P. T. K., 2) schronisk, c) wydawnictw.

5. Rada przyjęła sprawozdania ze stanu finansowego Towarzystwa i nakreśliła wytyczne w zakresie uporządkowania rachunkowości Towarzystwa.

6. Rada przyjęła do zatwierdzającej wiadomości powstanie Okręgu Wojewódzkiego P. T. K. w Lublinie, z delegatami przybyłymi na posiedzenie Rady organizację okręgów w Woj. Nowogródzkim, Łódzkim, Warszawskim, Pomorskim i Poznańskim. Wobec niemożliwości wyjazdów na teren członków Rady postanowiono przeprowadzić organizację Okręgów w drodze zapraszania z miast przedstawicieli Oddz. P. T. K., z którymi omówione będą sposoby przeprowadzenia Okręgów Wojewódzkich P. T. K.

Przypominamy o uregulowaniu prenumeraty za kwartał IV.

TREŚĆ: Wspomnienie z wycieczki artystycznej odbytej w r. 1883 do puszczy Białowieskiej i ziemi rodzinnej Mickiewicza. — *Adam Chętnik:* O muzeach i pracy Krajoznawczej w Bułgarii. — *Tadeusz Reicher-Sosnowski:* Włóczęgi krajoznawcze opowiadają... — Z piśmiennictwa. — Sprawy Towarzystwa.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1.40

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktorka: Dr. Regina Danysz-Fleszarowa. Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Druk. Jan Świątoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34. Tel. 407-50